

„Ulisses” Słomczyńskiego

Na festiwalu „Ulisses” Słomczyńskiego zaprezentował we wtorek szczyński Teatr Polski, a spektakl ten był jedną z najbardziej oczekiwanych propozycji FTTP. Sądzę, że publiczność toruńska zadawała sobie pytania podobne jak widzowie przedstawienia prapremierowego w 1970 r. w Teatrze „Wybrzeże”: czy dramat i teatr potrafił na nie odpowiedzieć? Autor teatralnego tekstu zburzył epicką strukturę dzieła, wybierając zeń kilka charakterystycznych wątków problemowych, oddając zresztą także jego nurt refleksyjny. Zatażenia paralelnej konstrukcji losów dwóch bohaterów; Stefana Dedalusa i Leopolda Blooma ukazał poprzez koncepcję multiról, łącząc w jedno po kilka odpowiadających sobie w akcji powieści postaci. Osią konstrukcyjną całości uczynił monolog Molly, przewijający się przez całe przedstawienie. Wszystkie kobiety w życiu Blooma i Dedalusa powierzył tej samej postaci: To Molly gra Gerty i Belle, wdowę po Dignanie, matkę Stefana i rodzicą Minę Purefoy, stając się nie tylko najpełniejszą osobą sztuki, ale i symbolem życia we wszystkich jego przejawach.

Przedstawienie szczyńskie (reżyseria Wanda Laskowska, scenografia Barbara Jankowska) rozpoczyna się w półmroku. Powoli pojawiają się na planie Bloom (Jacek Palaczek) i Stefan (Mieczysław Franaszek). I wtedy Molly (Janina Bocheńska) ingeruje w akcję. Pralóg, zostanie powtórzony i od tego momentu nie już nie zakłóci jednostajnego, w I części prawie onirycznego rytmu kolejnych epizodów. Ta jednak część przedstawienia jest wyraźnie słabsza, choć widać w niej staranność w tworzeniu klimatu — zbyt wiele w niej scen włąściwie nijakich. Nie wydobyły został ważny (i w powieści, i w sztuce) motyw poszukiwania Ojca i Syna łączący w jednym z ostatnich epizodów Blooma i Dedalusa. Stało się tak również dlatego, że postać Stefana jest w scenicznym „Ulissiesie” jakby błada, jego powieściowe losy nie dały się jednak dobrze przełożyć na język sceny. Z kolei postać drugiego bohatera — Blooma — nabiera rumieńców dopiero w części II, od sceny z Gerty MacDowell. Toteż i wartość scenicznych ról tak się w tym spektaklu rozkłada. Jacek Palaczek pokazuje swoją sprawność i umiejętności aktorskie w epizodach II aktu, Mieczysław Franaszek pozostaje do końca — tak jak i jego tekst sceniczny — postacią bladą.

Najciekawszą kreację przedstawienia tworzy Janina Bocheńska. Oczywiście jej aktorskie zadanie jest efektowniejsze, ale z drugiej strony — wymaga ciągłego napięcia i — w różnorodnych przeobrażeniach — coraz to nowych środków ekspresji. I aktorka znajduje je prawie przez cały czas. Tylko w zakończeniu jakby zbyt nieśmiało mówi ostatnią część monologu, bez koniecznej tu lirycznej ekspresji.

„Ulisses” Słomczyńskiego jest przedstawieniem interesującym. Ma braki, ale ma również czystość i konsekwencję reżyserskiego zamysłu, parę niezłych ról. Przed wszystkim zaś nie jest ani brykiem, ani skrótem, ale przetworzonym na scenę współczesną „Ulissesem”.